



FUNDACJA

Moje Wojenne Dzieciństwo



Julian Mazurek

## Ocena mojego dzieciństwa

Urodziłem się 14 marca 1939 roku we wsi Wola koło Biłgoraja, w rodzinie syn Józefa i Teofili. Moimi dziadkami byli Karol i Jadwiga. Z najwcześniejszych lat mojego życia zapamiętałem, jak na wózku zbitym z deseczek woził mnie mój dziadek. Mogło to być wiosną 1943 roku. Byłem chory na tyfus i w końcu rodzice zdecydowali się odwieźć mnie do szpitala w Biłgoraju. Pamiętam, jak ojciec wiózł mnie ciuchcią wąskotorową. SS-mani częstowali mnie cukierkami. Jechał z nami też pan „Sieróżka”, który był wówczas szefem więzienia niemieckiego. Tego „Sieróżkę” pamiętam jeszcze z racji jego dwóch wizyt w naszym domu. Podczas drugiej aresztowali mojego ojca. Po paru dniach ojciec wrócił z porozbijaną twarzą i zębami powybijanymi przez tego „Sieróżkę”.

Muszę tu wyjaśnić, że pan „Sieróżka” był nie tylko szefem więzienia, ale także dowódcą oddziału partyzanckiego, do którego należał mój ojciec. Mimo tak bolesnych przeżyć ojciec mile go wspominał, podkreślając, że zawdzięcza mu życie. Po jakimś czasie „Sieróżka” wraz z dwoma innymi Polakami został wyprowadzony na stadion w Biłgoraju, gdzie mieli być rozstrzelani. Mieli sami sobie wykopać grób. Pan „Sieróżka” usiłował kilofem uderzyć SS-mana, ale jeden z kolegów zasłonił go łopatą. W efekcie dwóch Polaków zastrzelono, a trzeci – ten, który uratował SS-mana – zasypał kolegów w dole i został zwolniony. Niedługo jednak pożył, bo inni koledzy wysłali go do nieba.

Następne, co utkwilo w mojej pamięci, to było rano w Boże Ciało 1943 roku, kiedy wieś Wola Duża została obstawiona przez uzbrojonych SS-manów. Słyszałem tylko: „Stryjenko, weź kromkę chleba”. Pamiętam jak spędzono nas, a następnie „raus” – i poprowadzono na drogę Biłgoraj – Zwierzyniec koło leśniczówki. Musiało być chłodno, gdyż mnie ojciec niósł w zielonej kurtce.

Na miejscu załadowano nas w samochody i wywieziono do obozu w Zwierzyńcu. W moim domu w czasie oblawy było nas sześcioro: dziadek Karol, babcia Jadwiga, ojciec, mama, ja i kuzyn Mieczysław Birut – rocznik 1935. Wszystkich umieszczono w obozie przejściowym w Zwierzyńcu. Następnie pieszo pod osłoną karabinów i SS-manów przeprowadzono nas na dworzec kolejowy. Tam odbyła się segregacja. Zwolniono pracowników kolei oraz tych, którzy mieli pochodzenie ukraińskie.

Po jakimś czasie załadowano nas w wagony bydłce i przewieziono do obozu w Zamościu, gdzie przebywaliśmy dwa tygodnie. Następnie przeprowadzono nas na dworzec kolejowy Zamość i znów załadowano do wagonów. Dojechaliśmy do dworca kolejowego w Lublinie – ale tylko ci, którzy mieli szczęście przeżyć. Potem już pieszo przeprowadzono nas do obozu „Majdanek”. Ja nie miałem siły iść, niesiony byłem przez tatę. Majdanek przywitał nas muzyką, której słowa utkwily mi w pamięci: „Majne libe majne dik”.

Po przebraniu zostaliśmy lokatorami trzeciego pola. Codziennie rano mama pokazywała mi ojca prowadzonego przez SS-manów do pracy za drutami kolczastymi. „O tam twój ojciec poszedł”. W pamięci mojej pozostały te druty kolczaste i to jak mój dziadek wytrzymał dwa tygodnie, a później musieliśmy go wyciągać na apel. Po apelu podjeżdżał wóz drabiniasty ciągnięty przez ludzi i ładowano na niego ciała nieżyjących – wrzucano jak snopki i wywożono.

Przebywaliśmy tam sześć tygodni. Pamiętam, jak mama prosiła mnie: „Idź z menażką po zupę dla ojca”. Wydający posiłek widząc mnie po raz piąty powiedział „spier...”, ale SS-man, który był przy kotle krzyknął „Kom! Kom!” i nakazał nalać. Następnie uderzył tamtego pistoletem w twarz i strzelił mu dwa razy w głowę. Ja podniosłem lament, że zabił tego człowieka, ale cóż mogłem zrobić.

Nie wszyscy mieli szczęście przeżyć. Pamiętam okropnie bluźniącego kapo Zygmunta, który wyczytywał całe rodziny, a następnie wyczytanych przeprowadzono do łaźni. I tu pamiętam lament wszystkich ludzi, lecz mnie nie powiedziano, że idziemy do komory gazowej, a za mały byłem, abym się orientował. No i w tym momencie otworzyły się drzwi łaźni. Stanął w nich SS-man i po twarzach mężczyzn odliczył kilku, po czym nakazał im wyjść i stanąć obok. Następnie rozkazał wyjść ich rodzinom i zamknął drzwi. Po ubraniu się ustawiono mężczyzn z żonami i dziećmi na jedną stronę, a staruszków osobno i wyprowadzono. Nikt nie wiedział gdzie?

Nas pięć rodzin przeprowadzono na dworzec kolejowy w Lublinie, załadowano w wagony bydłce, dano prowiant i zamknięto. Po pewnym czasie pociąg ruszył. Gdzie nas wieziono – nikt nie wiedział. Część zmarła, lecz niektórzy mieli szczęście przeżyć. Pamiętam jak po dwóch tygodniach spędzonych w wagonie zostaliśmy przeładowani na samochody ciężarowe. Przewieziono nas do miejsca ogrodzonego drutem kolczastym. Pamiętam duży, 1-piętrowy budynek. Obok za drutami była świniarnia. Niemiec Emil Jakaty rzucił nam widłami tego świńskiego jedzenia, a następnie próbował trafić nimi kogoś z nas. Mnie się udało złapać troszkę tego jedzenia, ale po chwili zaczęło mi pęcznieć i pewnie by mnie rozsadziło, gdyby nie kobiety, które złapały mnie za ręce i ciągnęły po bruku, abym nie pękł. I tak miałem szczęście przeżyć po raz kolejny.

Rodzice byli wyprowadzani do pracy u bauera, a my dzieci byliśmy całymi dniami za drutami. Po dziewięciu miesiącach pobytu wybudowano nam baraki i już byliśmy wolni. Rodzice nadal chodzili do pracy. Otrzymywaliśmy jedzenie do przeżycia. W święta otrzymywaliśmy nawet po kawałeczku ciasta i kromkę chleba z margaryną.

Do wyzwolenia przebywaliśmy w miejscowości Greitenberg u bauera, do którego nie mam żadnego żalu i niech Pan Bóg go błogosławi. Na dwie godziny przed wkroczeniem Armii Czerwonej – dziczy – Niemcy wyjechali wozami. Pozostawili Emila – tego od świń. Boże, jak ta dzicz się zachowywała! Na oczach 16-letniej córki kazał jeden z nich uciekać matce przed koniem, a potem ją zastrzelił. Strzelali do krów, jałówek, krzycząc że Hitler podoch.

Tacie mojemu Niemcy pozostawili klucze od całego majątku – mieszkań i biur, ponieważ uważali, że był pracowity i uczciwy. I tyle ich widzieliśmy. Dużo rzeczy domowego użytku zabraliśmy, np. ubrania i obuwie. Potem załadowaliśmy na wozy ciągnięte przez konie i dojechaliśmy do Piły. Tam liczni Polacy z kresów wschodnich załadowali pociąg, aby wrócić w rodzinne strony. I tak dojechaliśmy na dworzec w Lublinie, gdzie armia ukraińska postawiła nas pod mur i pozostawiła nam po jednej sztuce butów gumowych, swetrów i innych ubrań. Resztę zabrano – nawet rowerek dziecienny bez jednego koła. Po przyjeździe do rodzinnych stron zastaliśmy tam jedynie komin i jeden dębowy słup ogrodzeniowy. No i cóż – trzeba było pracować ciężko od młodych lat.